



piotr mrok

**OLIMPIADA
SZALEŃCÓW**

RW2010

Piotr Mrok

Olimpiada szaleńców

PIOTR MROK
OLIMPIADA SZALEŃCÓW

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2011

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Piotr Mrok 2011

Okładka Copyright © Andrzej Kidaj 2011

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011

Wydanie I

ISBN: 978-83-63111-26-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Podręcznik produkcji cyklopów.....	5
Za garść koralików i flaszkę.....	13
Mów pan do kota.....	23
Synowie mojego wroga.....	33
Ach! Cóż to był za ślub.....	49
Złocista apokalipsa.....	54
Piszemy najkrótsze opowiadanie SF na świecie.....	66
A gdy nastaną rządy ludzi bez skazy.....	75
Junior i ośmiu gniewnych.....	90
Niech każdy dzień będzie przygodą Twojego życia.....	104
Olimpiada szaleńców.....	118
Bo rodziców trzeba kochać i szanować.....	151

Podręcznik produkcji cyklopów

Wychodzę dziś ze szpitala. Nic poważnego. Ot, zwykły wypadek. Mogło się skończyć gorzej niż te kilka zadrapań, trzy wybite zęby, złamana ręka. Każdy sobie coś kiedyś złamał; no może nie w trzech miejscach z przemieszczeniem, ale żebyście zobaczyli, ile mi się osób podpisało na gipsie! Żebra już się zrastają, nieco gorzej z odmą płuc. Mała operacja, sześć godzin i załatali dziurkę, przez którą uciekało powietrze. Najważniejsze, że we łbie mi już nie dzwoni Zygmunt czy inny gestapowiec z brązu. Tyle że teraz muszę pamiętać, by przed wejściem w bramki na lotniskach uprzedzać, że zapiszczy, bo mam stalową płytkę.

Kto mnie tak urządził? To moja wina, moja i tylko moja. Przecież mogłem siedzieć cicho i nie marudzić. Ale nie; ja musiałem im wygarnąć ze wszystkich łuf!

– Czy wy te listy zjadacie?

Panienka z okienka zrobiła minę, jakbym jej zaproponował seks analny.

– Ale o co panu chodzi?

– Jesteście pocztą czy rekinem-listojadem? Czwartą paczkę mi w tym kwartale zgubiliście. Prowadzę księgarnię wysyłkową, klienci zaczynają podejrzewać, że ja nie mam tych książek i dlatego nie wysyłam. Owszem, kiedyś tak robiłem, ale kupujący podnieśli larum, że firma oszust, sądami straszili. Ech, ciężkie jest życie biznesmena... – ostatnie zdanie wypowiedziałem ze wzrokiem wbitym w sufit. Zaraz się jednak ocknąłem i warknąłem: – Gdzie jest moja paczka?

Dziewczyna aż podskoczyła z wrażenia.

– Wysłał pan poleconym? – zapytała Ewa Dębska, jak wyczytałem z jej identyfikatora.

– A jakim? Gołębiowym?! Czternaście listów mi w ubiegłym roku zgubiliście, macie mnie za idiotę? Może od razu będę te paczki do kosza wyrzucał? Taniej wyjdzie...

– Kiedy nadał pan tę paczkę?

Wręczyłem dziewczynie potwierdzenie nadania. Oglądała je w skupieniu, obracała w palcach, aż miałem wrażenie, że zaraz je powącha lub wręcz polize. W końcu orzekła metalicznym, przesłodzonym tonem:

– Proszę przyjść jutro, bo dziś mija dopiero trzynasty dzień od nadania i nie mogę przyjąć reklamacji.

Poczerwieniałem, oparłem się dłońmi o pulpit, jakbym szykował się do rozbicia z główki cienkiej tafli szkła, która dzieliła mnie i tę twardogłową idiotkę. Chyba spostrzegła błysk szaleństwa w moich oczach, a może parę buchająca z uszu i nosa, gdyż delikatnie odchyliła się do tyłu.

– Albo wie pan co... – rozejrzała się konspiracyjnie, choć w urzędzie poza nami nie było nikogo. Mógłbym ją udusić, wyjść i nikt by się nie dowiedział. Ona chyba także sobie to uświadomiła, gdyż dodała szeptem: – Pan wypełni tę reklamację, ale z jutrzejszą data, a ja jutro to dam do realizacji.

– Chcę, by moje listy dochodziły, a nie zgłaszać reklamacje. Znów mi kilka marnych groszy oddacie, co ja z nimi zrobię? Oddam klientowi, który więcej nigdy nic u mnie nie kupi?

– Najmocniej pana przepraszam, to nie nasza wina.

– A czyja? To już Święty Mikołaj ma lepsze statystyki doręczania – nieco ochłonałem, widząc, że dziewczyna przestała mówić jak zombie szkolone w asertywności, a zaczęła prawie jak człowiek.

– Ale ja nic nie poradzę, ja tylko... może spróbuje pan wysłać kurierem? Mamy taką usługę.

– Znam ja tych waszych kurierów. Trzy lata temu nadałem kryształowy wazon, prezent na rocznicę ślubu teściów. Mieszkają w Lublinie. Nie zamierzałem się telepać pociągiem pół dnia na jakieś zadupie zapomniane przez diabła tylko po to, by stara jędra burknęła „dziękuję”, rzucając prezent w kąć jak śmiecia. Znaczy i tak teściówka wybrałaby zapewne skróconą wersję ceremoniału, czyli bez podziękowań. Wypełniłem pudło styropianem (oczywiście wrzuciwszy wcześniej wazon), a na wierzch nakleiłem wielki napis „Uwaga! Szkło”. Pani tu jeszcze wtedy nie pracowała, zdaje się.

– Tak, ja od roku jestem – potaknęła urzędniczka.

– Następnego dnia szlachetna mamusia ślubnej dzwoni z awanturą, że jestem gnojek, bo sobie jaja z niej robię, wysyłając szklane koraliki. Złapałem więc za telefon i zapytałem tej waszej kierowniczkę: „Czy wy sobie, kurwa, jakieś zawody tu urządzenie w kopaniu paczek na odległość?”.

Pani Ewa parsknęła śmiechem.

– Tu się nie ma z czego śmiać, żona przez miesiąc patrzyła na mnie wzrokiem psa zbitego deską z gwoździami i przejechanego na dokładkę transporterem opancerzonym.

Pracowniczka urzędu skryła twarz w dłoniach i chichotała jak pensjonarka. Złość mi przeszła całkowicie, bo bestia miała śliczny śmiech. Z trudem utrzymywałem powagę.

– Pani Ewuniu – zacząłem, pochylając się znów nad splakaną ze śmiechu urzędniczką, lecz tym razem bez groźnych zamiarów. – Czy to nie może być jakoś tak normalnie, ja nadaję, wy dostarczacie, rozstajemy się w zgodzie? Po co wam te zapasy błotne?

Konspiracyjnie obniżyła głos do szeptu.

– Poczta zatrudnia jakiś podejrzany element na listonoszy i to dlatego przesyłki giną. Ja to niektórych z nich się boję. Jak zapytałam kiedyś pana Waldka, czemu

otwiera paczkę, to odparł, że coś chlupocze i że to pewnie perfum. Ma drań ucho i nosa. Wytrąbił zawartość jednym duszkiem, a potem nalał wody. Na odchodne beknął francuską wonią i rzucił: „A jakby ktoś pytał, to powiedz, że zwietrzały”.

– Granda! Nie może pani złożyć skargi?

– Pani Basia próbowała, to jej kierowniczka powiedziała, że przesadza. Tydzień później Baśka zniknęła i nie wiemy do dziś, gdzie się podziała. Policja i detektywi wciąż szukają, ale zniknęła. Jedna stażystka coś tam bąknęła, że widziała, jak pan Waldek nadawał kilka wielkich paczek do Zambii pocztą lotniczą.

– I co?

– Ten drań utrzymywał, że wysyłał żywność głodującym dzieciom. Policja chciała to sprawdzić. Jednak okazało się, że paczki zaginęły na poczcie.

A mówią, że solidarność złodziejska to przeżytek, pomyślałem uśmiechając się pod nosem, a potem zapytałem:

– Czy mam te książki zawozić własnym samochodem, czy może konwojami wojskowymi puszczać? Zbankrutuję.

Ewa sięgnęła ku szufladzie i na moment zastygła w zadumie. Po chwili szarpnęła za rączkę i zaczęła grzebać w stercie papierzysk, skrytych w mroku biurka.

– O, mam – powiedziała, podając mi bloczek zielonych karteczek – To jakaś nowa eksperymentalna usługa, tylko tyle dowiedziałam się od szefowej. Na razie ją testujemy i dlatego pewnie nikt o niej nie wie.

– Bankowo doręczony – przeczytałem napis na jednej z nalepek. – A cóż to za zwierz?

– Sam pan mówił, że poleczone giną...

– To jakiś absurd, przecież ci sami ludzie to roznoszą? Kto im zabroni „zniknąć” i te paczki?!

– Ja naprawdę niewiele wiem, ale ci degeneraci traktują paczki z zielonymi nalepkami jak nitroglicerynę, wożą własnymi samochodami, nie rzucają nimi po

ścianach, a co najważniejsze – nikt do tej pory nie zgłaszał żadnego zaginięcia. Może mają płacone ekstra od dostarczenia?

– To ja wezmę pięćdziesiąt tych zielonych – poprosiłem, wyraźnie zainteresowany tak świetną perspektywą. – Ile płacę?

– Nie, nie, to prezent od firmy, w ramach zadośćuczynienia za dotychczasowe straty, one i tak nie są ewidencjonowane, znaczy, te karteczki.

Podziękowałem i wyszedłem. Paczka, którą reklamowałem tego dnia, oczywiście nigdy się nie znalazła, a poczta wypłaciła mi marne pięćdziesiąt złotych odszkodowania.

Magiczną zieloną karteczkę zastosowałem po raz pierwszy przy ekspresowej wysyłce kompletu sagi „Zmierzch” dla teściowej. Żona bawiła u rodziców na wakacjach, ja miałem dojechać. Oczywiście wykręciłem się z tego nagłym zatruciem. Co było częściowo prawdą, bo na samą myśl, że mam jeść obiad z tą wiedźmą, chodziłem jak struty.

Jak zwykle w ostatnim momencie przypomniałem sobie o jej urodzinach i musiałem stworzyć choć pozory, że dbam o to, ile stuleci temu wykluła się z jaja. Wampiry dla starej wampirzycy; miałem nadzieję, że nie wpadnie na trop tej zręcznej metafory. Dziś była środa, a urodziny nietoperza przypadały w piątek. W sobotę wieczorem zadzwoniła i zwyzywała mnie od niewdzięczników, obłudników, meneli, którzy nawet nie pamiętają o dniu przyjścia na świat rodzicielki swojej żony. Po czterdziestu minutach wysłuchiwania klątw i złorzeczeń, gdy już cisnąłem telefonem komórkowym przez cały pokój, a jego resztki spoczęły na podłodze, postanowiłem, że tym razem wezmę kanister z benzyną i ostatecznie rozwiążę problem urzędu, który rujnował nie tylko mój biznes, ale też życie rodzinne. Żona na szczęście wracała od mamusi dopiero w poniedziałek, a do tego czasu może mnie zaaresztują i ominie mnie seria wyrzutów z doskonale wyszkolonego urzędnika jazgocząco-marudzącego. Gdybym nie miał wrażliwej szyi – niestety nawet golfów nie mogę

nosić – to pewnie bym się powiesił z rozpaczny. Rzuciłem się do wyra z głębokim przekonaniem, że jutro będzie mój ostatni dzień spokojnego życia.

W niedzielę rano powitało mnie walenie w drzwi. Cały w strachu zwlekłem się z łóżka i niczym skazaniec poczłapałem otworzyć. Moja Dorotka postanowiła zapewne wrócić wcześniej, by mi zabrać i ten ostatni dzień przed egzekucją.

Na klatce stało dwóch dżentelmenów w garniturach. Twarze mieli usiane kraterami krost i blizn. Otworzyłem z lekkością Syzyfa, któremu ktoś właśnie obwieścił, że dostał fajrant do wieczora.

– Mariek Kowalskij? – zapytał ten wyższy, wygolony na zero.

– Uf, ale mnie panowie wystraszyli, myślałem, że to żona. Tak to ja.

Nie zdążyłem zamknąć ust po „ja”, gdy ten drugi, niski mięśniak z kolczykiem w uchu, wywalił mi takiego kopa w brzuch, że poszybowałem dobre półtora metra w powietrzu i wylądowałem telemarkiem pod drzwiami ubikacji.

Mężczyźni nie czekając na zaproszenie wladowali się do środka, zamykając za sobą drzwi. Przez następne dwa kwadransy pracowali intensywnie nad moim zdrowiem, a konkretnie – jego dewastacją. Kopali, walili na odlew pięściami, kilka razy dostałem z główki, ale najwyraźniej nie spodobało im się, że traciłem po takim uderzeniu przytomność i zbyt często nie powtarzali tego triku, gdyż musieli potem robić dłuższą przerwę na cucenie mnie wiadrem wody.

– Szto wy sdełali s tovarom? – powtarzali, jakby zacięła się im płyta. Gdy dudniło mi już w głowie jak w dzwonnicy, a krew chlustała wszystkimi otworami ciała, tymi standardowymi i tymi dodatkowymi, wykonanymi przez chłopaków, łyseму zadzwoniło coś w kieszeni spodni. Wyszarpnął z niej telefon komórkowy i zdyszany głosem rzucił:

– Szto tam? Zdies my rabotajem.

Następnie dał znak partnerowi, by przestał nade mną pracować, gdyż prawdopodobnie zagłuszałem jękami, okrzykami i klaśnięciami jego rozmowę.

Dywigował kilka chwil, a gdy skończył, zreferował przebieg dyskusji partnerowi. Leżałem na podłodze, ubabrany krwią niczym wieprz na świniobiciu, ale nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, gdy usłyszałem (rosyjski znam dosyć dobrze, gdyż byłem kiedyś kolporterem ichniego porno), jak Łysol opowiadał, że jakaś stara z Lublina, moja współpracownica ponoć, pogryzła ich kolegę Wowoczkę, a drugiemu rozorała łeb wazonem. Dopiero jak wyłupali jej oko, to się uspokoiła. Myśl, że mam teściową-cyklopa, wprawiła mnie w tak wyśmienity nastrój, że zacząłem chichotać, na przemian jęcząc z bólu, bo połamane żebra płonęły żywym ogniem.

Niestety, spowodowało to, że troglodyci w gajerkach przypomnieli sobie o mojej obecności i znów mi kilka razy przykopali, aż coś w środku trzasło, a z klatki piersiowej zaczął wydobywać się niepokojący syk. Z pewnością na tym by nie poprzestali, ale wtedy wpadła policja, chyba cały komisariat, i spacyfikowała przyjemniaczków, „przy minimalnych stratach własnych”, jak potem napisały gazety. Jasne, minimalnych... Drużyna niebieskich straciła czterech chłopaków, w tym jednego na amen, a dwóch leży do dziś w śpiączce. Jak się później okazało, wybawienie zawdzięczałem Boguszowi z dołu, który zadzwonił ze skargą, że zbijam meble o piątej rano i nie pozwalam mu spać. Kochany człowiek, do tej pory go nie doceniałem. Może dlatego, że wzywał na mnie policję przeciętnie raz na tydzień, a jak nie chcieli przejechać, to sam przyłaził i zrzędził jak stara baba. A to mu muzyka przeszkadzała, a to że za głośno chodzę, to znów że chrząkam po dwudziestej drugiej. Raz się chociaż przydał.

Przytomni i odważni policjanci usłyszeli przez drzwi odgłosy bitki i wezwali wsparcie. Szkoda tylko, że policja czaiła się pod blokiem ponad dwadzieścia minut, zanim zebrali się na odwagę, by rozpocząć szturm.

Nie wiem dlaczego, ale nim straciłem przytomność, kazałem policjantom powiadomić kolegów z Lublina, że podobna zabawa trwa także na wschodzie Polski oraz grzecznie zapytałem, czy byliby łaskawi pośpieszyć mojej teściówce na ratunek.

Cała sprawa okazała się być ogromnie dużego kalibru. Mafia obsadziła listonoszy i kierowników w całej Poczcie Polskiej i wykorzystywali firmę do kolportażu amfetaminy. Zielona karteczka „Bankowo doręczony” oznaczała, że paczkę trzeba dostarczyć do magazynu nieopodal wschodniej granicy, nie przejmując się adresem napisanym na paczce.

Biznes szedł rewelacyjnie, dopóki wujek Wania Koznowski, głowa rosyjskiej rodziny mafijnej, nie wnerwił się, gdy dostał w prezencie komplet książek o wampirach. Oczywiście, nie dziwię mu się, sam byłbym zawiedziony i miałbym ochotę komuś przyłożyć. Dlatego właśnie przysłał swoich ludzi na skargę do nadawcy, czyli do mnie, oraz do mojego odbiorcy, czyli do tej starej rury. Nie przewidzieli tylko, że jędra ma wartość bojową oddziału Gromu i wysła obu chłopaków do szpitala.

Ratunek okazał się zbyteczny, bo przybyłym na miejsce funkcjonariuszom pozostało tylko skuć nieprzytomnych delikwentów i wrzucić do suki, a złorzeczącą jednooką szantrapę odeskortować do ambulansu. Dobrze, że Dorota i teść pojechali akurat do Tesco, bo im też by się oberwało.

Tym sposobem wszedłem w posiadanie ultra wkurzonego na mnie cyklopa oraz dozgonnie wdzięcznego teścia, który... No, zgadnijcie, po której stronie swej nowo odremontowanej żonki zawsze staje i robi bezkarnie głupie miny, ciesząc się przy tym jak dziecko?

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Piotr Mrok: Lubelska masakra kotem podwórkowym

Dariusz jest nastoletnim pisarzem. Ma głowę pełną marzeń, ale też kompleksów. Spotkanie z bratem w jednej z lubelskich kawiarni staje się dla niego początkiem obłądnej przygody. Oczywiście gra idzie o miłość, bo o cóż innego warto walczyć? Na drodze chłopaka staje zakonnica i wielki gość w białym kapeluszu, przy którym Kuba Rozpruwacz to niewinna pensjonarka. Darek otrzymuje od tajemniczej pary propozycję nie do odrzucenia. Rozróżba ma szeroki zasięg. W sprawę zamieszani są faszyci, elfy, agenci służb, zombie, centaury, młodociani czarodzieje, fanatycy religijni i wielu innych. A że na wojnie i w miłości wszystkie chwytły dozwolone, wolno używać nawet kotów. Acz potem można żałować.

Darek w swoich literackich fantazjach, zawsze zdobywa ukochaną Basię i triumfuje nad zniechęconym nauczycielem. Czy będzie jednak umiał stawić czoła swoim lękom, przemierzając wraz z bandą odmieńców iście kafkowski świat, gdzie trzeba zabijać, by przetrwać, i wciąż od nowa unikać śmierci?

Czytelniku, jeżeli wierzysz w swoje poczucie humoru, czytaj i daj postaciom tej niezwyklej, szalonej powieści szansę na lepsze życie.

Marcin Orlik: Księga studencka

Nie bez przyczyny mówi się o tym, że studia to magiczny okres w życiu człowieka. Przekonują się o tym na własnej skórze dwaj studenci, kiedy to z głębin nieznanego człowiekowi na padole ziemskim pojawia się Pan Bajzelhaus, obecnością swą czyniąc porządek w mieszkaniu studenckim, co jest absolutnie nie do przyjęcia.

A to dopiero początek studiów! Jak więc sobie na nich poradzić? Z pomocą przychodzi Vademecum Studenta, obowiązkowa lektura każdego pierwszorocznika, pomagająca odnaleźć się w wysokoprocentowej atmosferze studiów. Dzięki tej książce studenci dowiedzą się, jak poradzić sobie z sąsiadką z dołu, jak przeżyć w noc żywych kserokopiarek i dlaczego warto iść na najnudniejszy wykład świata. Odkryją też prawdziwą wartość uczelnianego papieru toaletowego i mroczne skutki podkradania szarego złota z uniwersyteckich toalet. Vademecum, niestety, nie zawsze może przyjść z pomocą i nieraz studenci będą musieli polegać na własnym... spirycie. Czy sobie poradzą? Odpowiedź znajdziecie w pierwszym tomie „Księgi Studenckiej”.

Antologia „Kryminalna 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Tomasz Mróz: Fabryka wtórów

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: Przejście A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

„Przejście A8” to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Znowu spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezłomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójkę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Tomasz Mróz: Szary cień

„Szary cień” to dyptyk, zawierający dwa literackie obrazy. W tytułowym „Szarym cieniu” policjanci zmagają się z zagadką tajemniczej śmierci. Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu bohaterów, komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

A na deser drugi obraz, opowiadanie „Kosmiczny Edek”, które jest zapisem przeżyć rencysty-pijaczyny, spędzającego czas na osiedlowej ławeczce w ekipie Stalowego Kazka. Zostaje on zauroczony potężną osobowością Kosmicznego Edka, który niespodziewanie urasta do rangi osiedlowego guru i organizuje coś w rodzaju sekty. Edek pomaga, kieruje, uczy, ale też wymaga od swoich podwładnych: posłuszeństwa niemal wojskowego i oddania duszy...

Maciej Żytowiecki: Mój prywatny demon

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Szablą i wąsem. Antologia opowiadań sarmackich

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chęłpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.